

Janusz Ramotowski

część VII z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **27.10.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min,**

część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janusz Ramotowski: Staraliśmy się, żeby nas nie było widać. Mieszkaliśmy tam na tym Wawrzyszewie. Ja wychodziłem z domu regularnie o tej samej godzinie, Tak jakbym jechał do pracy. Bez sensu, bo przecież opozycja jeszcze spała. Co ja mam o 8 rano, gdzie ja mam się dobić do jakiegoś opozycjonisty, jak on dopiero o tej chwili pewnie zasypia, bo całą noc radzili, jak obalić komunę. Natomiast z uporem maniaka wychodziłem do tej roboty o tej samej godzinie. Spotykałem zawsze sąsiada, który wychodził o tej samej godzinie do roboty. Kiedyś żeśmy się obydwa spóźnili i mówi: „oj Janusz, ty dzisiaj spóźniony jesteś”. Ja mówię: „no szef mnie opier*** i tak to się skończy”. No i tyle, nie? Skończyły się te nasze wojny. Skończyło się to wszystko. Podjechaliśmy tam na tego, spotykam tego sąsiada, tego człowieka i on do mnie mówi: „ale Ty to byłeś ptica. Żebym ja to wtedy wiedział”. Mówię: „bez wątpienia byś mi pomógł”. Chociaż po tonie jego głosu wcale takie oczywiste nie było, po której stronie on tak dla państwa stał. W każdym bądź razie w bloku figurowaliśmy jako ludzie zupełnie normalni, bez żadnych takich. Te wizyty Teosia jakoś przechodziły, ale na wódeczkę, jak nie za dużo ludzi, to się zawsze to przechodziło. I to też było ważne, żeby to robić normalnie, regularnie. To wtedy człowieka nie widać. I jakoś nam się to udawało.

Artur Kłus: Tutaj wspominał właśnie Pan o tych zasadach konspiracji i tego, że właśnie się udawało. A kiedy był taki moment, że Pan wyczuł element pewnego zagrożenia czy pewnego niebezpieczeństwa? No bo tak, jest i wpadka Teosia i wpadka Arka, gdzie Pan gdzieś tam może być rozpoznany, jest ten lokal u malarza, jest ta kwestia z tymi SB-kami w tym pociągu, więc kilka, coraz więcej elementów gdzieś się pojawia w Pana biografii, które mogą powodować narastające niebezpieczeństwo. Jak Pan to obserwował?

Janusz Ramotowski: Na szczęście, na szczęście, że takie informacje dochodziły do mnie. Pierwsze informacje dochodziły do mnie ze strony Wisa. Był taki Michał Julka, Julka i Michał... Michał i Julka Gruszczyńscy. Julkę przestuchiwano na moją okoliczność. Mówiono o moim pseudonimie i mówiono o tym, że są jakieś kontakty. Później Michał dał się trochę wrobić. Wynikało to z tego, że ja gdzieś na Żoliborzu mieszkam. Dotarło to jakoś też do bezpieki. Rzeczywiście największe niebezpieczeństwo i to już cuchnęło, szczęście, że Ewa Kulik przechwyciła, że miała tę informację, ten strzęp informacji ze strony bezpieki. My żeśmy ustawili, Wojtek ustawił taki lokal awaryjny, na który miałby się zgłosić ktoś ze Szwecji, gdyby Wojtek wpadł. Wtedy na ten lokal miałby się zgłosić ktoś ze Szwecji i nawiązać kontakt ze mną. W związku z tym ja trzymałem ten lokal, to był znajomy Wojtka. Trzymałem ten lokal w jakiejś tam gotowości, a gotowość to jest taka, że trzeba od czasu do czasu wpadać, chociaż powodów nie ma. Jak się nie wpada, to ludzie zapominają, to umiera po prostu, śmiercią naturalną. Tyle było sympatyczne, że człowiek robił znakomite wina domowej roboty, więc przyjemne z pożytecznym. I któregoś razu mnie Ewa Kulik wywołała na jakieś pilne spotkanie. Pokazała mi ten kwit i na tym kwicie było napisane – pewnie to było napisane wszystko, tylko ja wtedy się tym aż tak bardzo nie zajmowałem – to były jakieś tam Departament MSW i do Komitetu Centralnego, że nie mamy namiarów na „Przema” – było napisane – ale wiemy, że bywa na lokalu takim a takim. Lokal obserwujemy, jeżeli się zjawi, to podejmiemy działanie. I tyle. No i właśnie pyta czy to moje, ponieważ był adres lokalu. No moje, no rzeczywiście moje. Jak ten adres wpadł? On wpadł przez Mariana Kaletę. Bo to Marian miał zamiary na ten lokal po szwedzkiej stronie, a NOW-a czegoś od nas chciała, jakieś instrukcje do jakiegoś obszaru, coś tam takiego, czego nie dostali, może my żeśmy nie mieli, nieważne. Oni szukali z uporem maniaka kontaktu z nami, no i Marian im powiedział, że taki kontakt można nawiązać przez ten lokal. A pocztę od Mariana do NOW-ej, od NOW-ej do Mariana wozili Tajny Współpracownik. Więc ta poczta lądowała najpierw na Rakowieckiej, a później docierała do adresata. I tak chodziło w obydwie strony. I stąd ten lokal się przypalił. Gdyby Ewa nie przechwyciła tej korespondencji, to oczywiście zjawiłbym się, no i co by zrobili? No zaczęliby mnie obserwować, patrzeć, co się dzieje. Oczywiście tak sprytny człowiek, jak ja na pewno by uniknął tych wszystkich podchodów i tego, ale tak naprawdę to przecież bym ściągnął nieszczęście na siebie i na innych. Więc to się udało, w każdym bądź razie. Biorąc to, co się odbywało z Wisem, te wszystkie ploty, które tam gdzieś krążyły po tym mieście, to wszystko zaczęło wskazywać na to, że są jakieś działania i to chyba dosyć intensywne ze strony bezpieki. I że jak takie działania się rozpoczynają, to życie mówi, że wcześniej czy później muszą się zakończyć sukcesem. Więc wtedy żeśmy zaczęli przemyśliwać, czy ja sam później z moją panią, co z tym robić dalej. No i padło na to, że powinniśmy wyjeżdżać. Bo ja w każdym momencie mogłem na przykład pójść w kanały. I mogłem sobie tam dalej hasać, tak jak hasałem. Z tym że wtedy bezpieka wywierałaby presję na moją kobietę i to ona musiałaby cierpieć za te moje... Mogłem dać się zamknąć, w końcu co to przeszkadza. Z tym że wracamy do punktu wyjścia. Oni mnie zamkną, to nie po to, żebym ja tam sobie siedział i wreszcie miał trochę wolnego, tylko po to, żeby coś się ode mnie dowiedzieć. Jeżeli nie będę mówił, to kogo wezmę za łeb? Znowu tę moją... Więc znowu to nie była metoda. W związku z tym, co? Wyjeżdżamy. Gdzie? Cały świat przed nami. Wojtek Fabiński wynalazł dwoje Norwegów. On i ona. My mieliśmy wziąć rozwód w Polsce. Oni byli stanu wolnego, mieliśmy wziąć dwa śluby i jako dwie rodziny wyjechać do tej Norwegii. Z tym że z tym rozwodem jakoś nam nie wychodziło, chociaż to też... Pamięć ludzka jest pamięć ludzka i opowieści niosą w sobie ileś błędów. Ja byłem przekonany, że my żeśmy od razu postanowili, że wszystko, ale nie rozwody, prawda? Że żadnego rozwodu to nie będzie. Może jakaś koleżanka Bronki, mojej żony, widziała nas u adwokata, kiedy żeśmy omawiali sprawę naszego rozwodu, więc coś my żeśmy robili w tej sprawie, tylko żeśmy zapomnieli. Ale, tak czy inaczej, wyszło na to, że rozwodzić to my się nie będziemy. Więc

koncepcja dwóch rodzin polsko-norweskich upadła. Mam nadzieję, że oni sobie życie ułożyli i gdzieś tam zawarli te związki w innej sytuacji z innymi ludźmi. Więc w tym momencie następny pomysł, no to Francja. Dlaczego Francja? No bo powiedzmy, byłem podłączony, miałem jakiś ten kontakt z tym Biurem paryskim Solidarności. I to Biuro mi przygotowało zaproszenia dla czterech osób, dla dzieci i dla nas, na wyjazd taki turystyczny. Ja się zalegalizowałem. Znaczą, zatrudniłem się fikcyjnie u jakiegoś rzemieślnika, którego nigdy nie widziałem na oczy. Zalegalizowałem się i wystąpiliśmy o te paszporty. Te paszporty dostaliśmy. No to, nie wiem, że dwa, trzy dni temu omawiałem to z panem Wołkiem [Grzegorzem] z IPN-u bardzo dokładnie, ponieważ ta cała historia, ona dla mnie nie jest wyjaśniona do końca. Mnie się nie udało dotrzeć do żadnych zapisków, dokumentów. Może jemu się uda. No bo my żeśmy te 4 paszporty dostali po prostu. No i żeśmy wyjechali. W 2 tygodnie po naszym wyjeździe odbyła się narada zlecona przez Biuro Studiów Służby Bezpieczeństwa, żeby Wydział 3A i Komenda Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych i Wydział 6 Departamentu II zrobili wspólną naradę, ponieważ pracują nad jedną sprawą, pracują równolegle, w związku z tym nie mają efektu. I to była moja sprawa. Taka narada się odbyła, jest protokół z tej narady. No i na tej naradzie ustalono: pseudonim, taki a taki, imię, nazwisko, co robiłem. I jeszcze mi tam doklepano wiele rzeczy, których nie robiłem, ale kto inny robił, ale nieważne. I że wyjechaliśmy do Belgii, gdzie ja podejmę pracę w Biurze brukselskim Solidarności. To była nieprawda, bo my żeśmy do żadnej Belgii się nie wybierali. W każdym bądź razie dwa tygodnie po naszym wyjeździe potrafili zlepić to wszystko do kupy. Tyle że nas już nie było. I ja chciałbym wierzyć do końca i na razie wierzyć muszę, że rzeczywiście udało nam się ich przechytrzyć. A jeżeli nie? Co się odbyło w takim razie wokół tej sprawy? Ja wykonałem jakieś manewry związane z tym mieszkaniem, żeby przekazać je w sumie człowiekowi z Podziemia, takiemu Józkowi Bobkowi, który u mnie prowadził.

Artur Kłus: Pana mieszkanie w Warszawie?

Janusz Ramotowski: Tak, to było mieszkanie spółdzielcze, takie klasyczne, więc zaproponowano mi, żebym je wykupił jako własnościowe prawo do lokalu. Wykupiłem je za pieniądze właśnie Józka Bobka. Zameldowałem tam jego żonę i tyle. Ale z kolei tam w jakichś zapisach bezpieki jest napisane, że mieszkaniem tym interesował się jakiś major Kowalczyk z WSW, powiedzmy ze służb wojskowych. Ale krążą jakieś opowieści, że jakiś kuzyn, może brat Józka był też oficerem w WSW. W związku z tym, czy ta cała tajemnica jest aż tak do końca tajemnicza? Czy przypadkiem nasz wyjazd, szczęśliwy wyjazd, zapłaciliśmy za nie tym mieszkaniem, bo jeżeli ktoś chciał pomóc bratu czy kuzynowi, żeby miał gdzie mieszkać, no to tam mógł zacząć mieszać, skręcać te papiery, żeby ten wyjazd wyszedł, prawda? Być może. To są teorie. Ja nie wiem, ja nigdy nikomu nie powiem, że byłem najsprytniejszy, najmądrzejszy i przechytrzyłem tę bezpiekę, ponieważ jest jakiś taniec czarownic wokół tego wszystkiego. W końcu ilość tych informacji, które spłynęły na temat mojej osoby w dwa tygodnie po naszym wyjeździe, jednak jest wielka. Że są nieprecyzyjne? Zgoda. Ale Ci jednak, obydwie te zespoły miały już jakąś bazę informacyjną na mój temat. Tak że ja do końca nie wiem, po prostu nie wiem i z radością bym, opowiedziałem to Grześkowi [Wołkowi z IPN], żeby on ewentualnie, może by coś mu się udało znaleźć. Może on może głębiej sięgać do tych papierów, no bo z tego żyje, prawda. Żeby skomplikować tą całą historię do końca, to się bawmy do końca jak dzieci, chociaż są to wydarzenia prawdziwe i autentyczne, ale mogą wywoływać tylko radość na ustach słuchających. W tym samym okresie czasu, również w Warszawie, działał niejaki Janusz Ramotowski, Major Departamentu I MSW. Był taki. Jak był w Warszawie, bo on pracował na kraje anglojęzyczne, więc albo Anglię, albo Stany Zjednoczone. W każdym bądź razie istniał

w Warszawie i był zarejestrowany. Janusz Ramotowski, major Departamentu I MSW. Jeżeli porównamy sobie nasze gęby, to jest Ramol, bo zresztą kuzynostwa nie jestem w stanie zaprzeczyć. Nie jest ono aż tak bliskie, ale sięga jednak, na pewno sięga drugiej połowy XVII wieku. Pochodzi oczywiście tam, skąd pochodzimy wszyscy Ramotowscy. Czy obecność tego człowieka w Warszawie nie miała wpływu na to, co się odbywało wokół mnie? Mówię jakieś takie teorie, przypuszczenia, mogę to wymyślić nad ranem, budząc się ze snu, mogę o tym mówić, jak się dobrze upiję, ale czy obecność w Warszawie tutaj Janusza Ramotowskiego, w sumie o dosyć podobnej gębie, tyle że w służbach wojskowych nie hamowała działań MSW.

Artur Kłus: Którego Pan nie poznał, tego Janusza?

Janusz Ramotowski: Ja go wtedy nie poznałem, nie poznaliśmy się nigdy, ponieważ zdaniem jego rodziny on nie żyje, umarł w roku 2000. Mieszka w Stanach. Ja go znalazłem, nawet zadzwoniłem, ale jego żona jak tylko się przedstawiłem, rzuciła słuchawkę i teraz tylko sekretarka. Nie mają chęci na kontakt, no trudno. Ja od niego tam nic nie chcę, żeby opowiadał, jak on tam ścigał i co on tam ścigał, bo ja to wszystko już wyczytałem w jego dossier. Ale tak, z ciekawości. Więc w każdym razie był taki człowiek, był taki człowiek. I jego obecność mogła mieć jakiś wpływ na to, co się odbywało, bo jeżeli nasi chłopcy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych mogli kojarzyć: „a słuchaj, uważaj, bo ten typ, to czy on przypadkiem nie jest w tym w Departamencie I?”. To trochę hamuje ich ruchy. Oni nie współpracowali tak na tej zasadzie, że spotykali się na wódeczce, sobie pogadywali, co i jak się dzieje. Wszystko było tajne przez poufne. No i tyle. Mamy tego majora nieszczęsnego, majora Janusza Ramotowskiego. Ale żeby się bawić do samego końca, już, mają osobą: ja w Warszawie miałem sobowtóra. I to nie sobowtóra przez przypadek, że tam, nie wiem, no przez jeden rok, dziesięć miesięcy on był podobny do mnie. Ten człowiek był podobny do mnie przez lata całe. Pracowałem jeszcze na Hożej, kiedy jedna z moich koleżanek w Instytucie Fizyki powiedziała mi, że robiłem zdjęcie w jakimś tam zakładzie fotograficznym. I że to zdjęcie jest na wystawie. Nie polecałem oglądać tego zdjęcia, no bo nie robiłem tam zdjęcia. Jak już tam przechodziłem koło tego zakładu, zdjęcia nie było. No dobrze, Mirce się pomyliło, może trochę podobny byłem. Tego człowieka w czas jakiś później, minęły znowu pewnie ze dwa lata, spotkała moja teściowa. Zaczęła się go wypytывать, co się dzieje u nas w domu, jak to teściowa spotkała zięcia. Zorientowała się, że zięć coś nie za bardzo, nic z tego nie kojarzy, Więc przeprosiła, no i poszła. Następnie tego człowieka w stanie wojennym spotkał, zobaczył na ulicy niejaki Teodor Klincewicz. Jechał taksówką, zatrzymał taksówkę, polecał, zaczął mu pluć do ucha rzeczy, o których tamten nie powinien nigdy słyszeć. Jak się zorientował, że to coś nie tak, to się zabrał i uciekł. Tego samego człowieka spotkała w autobusie moja żona. Ba! Miał na sobie taką samą kurtkę jak ja tego ranka wyszedłem z domu. Twierdzi, że z odległości trzech metrów zorientowała się, że to jednak nie ja. No i w końcu wszystko to się skończyło tym, że któregoś razu w autobusie naprzeciwko mnie stoi jakaś panienka, uśmiecha się do mnie, a ja jej nie znam. Te kręgi moich znajomych były zupełnie różne i zupełnie się ze mną niestykające. Nie we wszystkich się nazywałem Janusz, nie we wszystkich się nazywałem „Przem”. Tak mi się to życie porobiło, że się różnie nazywałem w różnych miejscach. Więc ja nie potrafiłem jej podłączyć, tej dziewczyny, do żadnego z tych kręgów. Odśmiechnąłem się uśmiechem małpy. No i tyle, nie? Ona znowu się uśmiechnęła, ja znowu się odśmiechnąłem. Pyta się: „nie poznajesz mnie?”. Mówię: „przepraszam bardzo, nie poznaję. Nawet żałuję, że nie poznaję, ale no nie poznaję”. No i nic z tego. „A to no tak, no tak. No głos chyba jest, nie no głos jest trochę inny. To ty nie jesteś – tu powiedziała imię nazwisko, które oczywiście zapomniałem – ty nie jesteś sekretarzem

redakcji Sztandaru Młodych?” – „Niech mnie ręka boska broni dziewczyno, żebym ja się w takie rzeczy bawił. Nie, nie, to na pewno nie ja”. – „No tak, no tak, rzeczywiście głos się trochę różni”. Teoś na tą radosną wiadomość mówi: „to go zadenuncjujemy, niech idzie siedzieć. Mają gdzieś tam te twoje zdjęcie. No to wszystko gra. Nim się wytłumaczy, to ze trzy miesiące posiedzi”. Na szczęście, żeśmy tego nie zrobili. W każdym bądź razie taki człowiek istniał i to podobieństwo istniało, łudzące podobieństwo istniało przez bardzo, bardzo długo. To nie była kwestia, że to się szybko skończyło. No i już. Czy to komplikuje, czy to nie komplikuje? Nie wiem. Ja mam swoją teorię, skąd to taki do mnie podobny. Ojca nie mogę podejrzewać, ponieważ nie kursował w tych rejonach. No i nie. W związku z tym albo jest to zupełnie przypadkowa zbieżność, albo coś w tym jest. Kiedyś rozmawiałem z... Niejakim Aleksandrem Ramotowskim, który mieszka w Warszawie, w ulicy Bagatela też, mieszkał na ulicy Bagatela w Warszawie. Wziąłem mojego siostrzeńca na tę rozmowę. I po tej rozmowie, ja się nie spodziewałem, co zobaczę, co usłyszę, po tej rozmowie zapytałem się Daniela: „co Cię uderzyło w tej rozmowie?”. A on mi mówi: „słuchaj, on jest identyczny, jak dziadek, czyli jak mój ojciec”. Rzeczywiście Aleksander Ramotowski był kopią mojego ojca. No, Ramon, no więc normalny. Mało tego, miał brata, który ten brat, tu w Otwocku się leczył na gruźlicę. I ojca czepiał jakiś krawiec, że nie zdążył miary na garnitur zrobić. To było parę razy, aż ojciec powiedział, że już nie chce tego garnituru. To był Aleksander, ten brat był Tadeusz. Było przynajmniej dwóch ludzi, no, Ramotowskich bardzo, bardzo podobnych do mojego ojca.

Artur Kłus: Kim był ten Aleksander?

Janusz Ramotowski: Aleksander, no jeden z Ramotowskich, pochodzący z Miętusewa, generalnie rzecz biorąc oczywiście mój kuzyn, nie wiem, czy w XV pokoleniu, czy w tym, czy jeszcze troszkę dalej. No Ramol, Ramol, jestem w stanie udowodnić, że wszyscy pochodzimy z jednego korzenia. A to był na to dowód, bo był taki podobny, prawda. Ponieważ i teraz być może, no może to jest przypadek, ale nie można wykluczyć, że jeden z tych dwóch moich szacownych kuzynów, czy to Aleksander, czy to Tadeusz, pochylił się nad jakąś Panią, która już zamężna była. Z tego, z tytułu tego pochylenia powstał osobnik płci męskiej, który geny Ramolowe zostały mu przekazane w sposób dokładny. No i jest taki na świecie, prawda? Jego można znaleźć, bo ile mogło być sekretarzy redakcji Sztandaru Młodych? Pięciu? Pewnie nie więcej, nie mam pojęcia, ale stu ich nie było. To jest jakieś parę osób. Wystarczy wziąć Sztandar Młodych z tamtego okresu czasu w stopce redakcyjnej powypisywać sobie wszystkich sekretarzy, no i później znaleźć jeszcze sekretarzy. Jeden z nich to będzie ten podobny. Najgorzej, jak się okaże, że nosi taką samą brodę i tak samo wygląda, jak ja, i powie: „przepraszam, ja lustra nie zamawiałem”, jak się zadzwoni do niego do drzwi. W każdym razie był taki człowiek, to jest śmieszne i to jest trudno w to uwierzyć, ale to jest szczerza, uczciwa prawda. Jeszcze z ludzi żyjących, no to moja żona może to potwierdzić, że sama widziała tego człowieka. Nie sądzę, żeby to miało jakkolwiek wpływ na to, co się ze mną działo w Podziemiu, bo to trzeba już jakąś spiskową teorię dziejów byłoby wymyślać, ale fakt jest faktem, że coś takiego też miało miejsce i na tym koniec więcej opowieści już o...

Artur Kłus: O Ramotowskich.

Janusz Ramotowski: No, to nie to.

Artur Kłus: A niech Pan jeszcze powie, dokończy tą historię z panem Józkiem Bobkiem, bo to miesz-

kania Pan już nie odzyskał, ale kontakt jeszcze mieliście?

Janusz Ramotowski: Tak, ja nie odzyskałem tego mieszkania, ja je dlatego przekazałem, żeby to było ich mieszkanie, więc ja nie miałem co odzyskiwać. Wręcz przeciwnie, ja to miałem obowiązek dokończyć, żeby to stało się ich własnością, tak jak trzeba. Ja miałem kontakt z Józkiem Bobkiem. On przyjechał do mnie w 1987 roku, tam do Miluzy. No i ja się ucieszyłem, no bo to jednak... Na początku był w Paryżu, później przyjechał do mnie. I no i tyle, no przyjechał. No wszystko było fajnie, gdyby nie to, że on mi zaproponował, żebym ja skontaktował go z kimś w Biurze Paryskim, bo on będzie wracał do Polski, to on mógłby przewieźć pocztę i pieniądze do Polski. Ja się tym nie zajmowałem i nie uważałem, że ja się powinienem tym zajmować, prawda? Z całym szacunkiem dla Józka i dla kogokolwiek innego, ale no, ludzie swoją robotą robią, swoją robotę. Podziemie polega również na tym, że to nie wszyscy robią to samo, prawda? I jeszcze sobie opowiadają. Więc popędziłem Józka. Fakt jest też faktem, że w 1987 roku przywrócono mi zabezpieczenie operacyjne. Zdjęto ze mnie zabezpieczenie operacyjne w 1985 roku, jak wyjechałem. W 1987 roku mi przywrócono zabezpieczenie operacyjne. Ja byłem tam. Czego oni ode mnie mogli chcieć? Czego oni tam przy mnie węszyli? To ja nie wiem. Ale węszyli. No i tyle. Józek nie żyje. Już też, już go nie ma, ale to znowu wszystko, dokładając do tego nieszczęsnego majora Kowalczyka, te wszystkie wydarzenia, to wszystko tworzy taką gęstą atmosferę wokół tego wszystkiego. Najwięcej pewnie można by było się dowiedzieć w urzędzie meldunkowym na Bielanych. Próbowiałem Grześka [Wołka] namówić, może to zrobi, ponieważ można wyciągnąć papiery, IPN może wyciągnąć papiery z takich instytucji jak urząd meldunkowy. Ja tego nie mogę zrobić. Dlaczego o tym mówię? Ponieważ w momencie, kiedy zakończyłem sprawę z tym mieszkaniem, no to poszedłem do urzędu meldunkowego, żeby się wymeldować. Pani, która tam siedziała, sprawiała jakieś miłe, sympatyczne wrażenie. Więc: dowód osobisty. A mówi: „ja mam inny nr zapisany dowodu osobistego, niż Pan mi tutaj daje. Co się stało z pańskim starym?”. A to była ta bójka, kiedy tam straciłem dowód, aparat fotograficzny, no tam to powiedzmy. I tak wyglądała, że jej mówię: „to ja pani powiem prawdę”. No i powiedziałem jej prawdę. Zaczęła stukać w tym komputerze. Mówi: „ale Pan to miał ciekawy życiorys”. I to jest w tym urzędzie meldunkowym na Bielanych. Więc ja się pytam: „co tam jest?”. Ona mówi: „tego to nie mogę panu powiedzieć”. I mi nie powiedziała tego wszystkiego. Natomiast znowu tam się odbywał jakiś taniec wokół tego wszystkiego. Warto by to wyciągnąć i przeczytać.